

Uciec przed blackoutem

Utworzono: czwartek, 05 października 2017

Autor: Witold Gałązka

Źródło: Trybuna Górnicza

Czy blackout, czyli zabójczy dla gospodarki i mieszkańców nagły zanik prądu elektrycznego w sieci, jest tylko sensacyjnym scenariuszem z kinowych filmów katastroficznych? Specjaliści Polskich Sieci Elektroenergetycznych (PSE) nie mają żadnych wątpliwości: realna groźba blackoutu zawisnie nad Polską już w 2021 r.

Prawo energetyczne każe naszemu narodowemu Operatorowi Systemu Przesyłowego, jakim są PSE, dbać o bezpieczny bilans mocy w Krajowym Systemie Elektroenergetycznym. Dlatego eksperci PSE skrzętnie monitorują produkcję, przepływy i zużycie prądu elektrycznego. W oparciu o twarde dane sporządzili „Prognozę pokrycia zapotrzebowania szczytowego na moc w latach 2016-2035”, z której wynika, że za niecałe cztery lata doświadczymy krytycznego deficytu mocy.

Rozchwianie systemu

Obecnie, zdaniem ekspertów, dopuszczamy do ryzykownego rozchwiania systemu. Niestety swój udział mają w tym nowoczesne i pożyteczne Odnawialne Źródła Energii – farmy turbin wiatrowych i panele fotowoltaiczne. Przybywa ich, jak przysłowiowych grzybów po deszczu. Jeszcze w 2005 r. z OZE wytworzyły 3,8 TWh, a rok temu już 22,8 TWh – sześciokrotnie więcej. OZE mają pierwszeństwo w przesyłce prądu i są dotowane na rynku (od 2005 r. pochłonęły 30 mld zł z budżetu), zwyciężają więc z gazem, ropą i węglem, od których w popłochu uciekają inwestorzy. Ale przecież bloków konwencjonalnych nie da się po prostu wygaszać i uruchamiać kilkakrotnie w ciągu doby. Elektrownie węglowe pracują więc na zaniżonej mocy albo przechodzą w przestoje.

W Europie, gdzie OZE pojawiły się wcześniej, dawno już zaczęto zabezpieczać się przed problemem. W 11 państwach UE, które sprawdziła Komisja Europejska, znaleziono aż... 35 sposobów, czyli mechanizmów finansowych na podtrzymanie bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej. W Niemczech czy Polsce są to obecnie tzw. zimne rezerwy (właścicielom części starszych elektrowni konwencjonalnych płaci się za utrzymywanie „zamrożonych” mocy i nielikwidowanie zakładów, by w razie zagrożenia mogły jeszcze kiedyś produkować prąd). We Francji, Włoszech, USA, Wielkiej Brytanii (zwłaszcza na niej wzorowali się twórcy polskiego projektu) wprowadzono tzw. rynek mocy. Jego ideą jest dwutowarowość: płacimy nie tylko za sam prąd, jak obecnie, ale też za gwarancję dostarczenia prądu w przyszłości, co wiąże się z utrzymywaniem elektrowni „pod parą”.

Wesprzeć energetykę konwencjonalną

Co się stanie, jeśli nie zaczniemy się zabezpieczać?

- W zasadzie nie opłaca się już dziś inwestować w nowe bloki węglowe i gazowe. Rządy państw pozbawione są możliwości decydowania o przyszłości swej energetyki w najbliższych latach i problem jest powszechnie dyskutowany w UE - ocenia Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. Dodaje, że sposobem na deficyt może być import energii elektrycznej. - Tylko cena mogłaby okazać się ogromna – tłumaczy.

Chodzi o cenę bezpieczeństwa w przypadku nagłego odcięcia dostaw lub szantażu politycznego, jaki kilkakrotnie odczuwaliśmy np. w kontaktach z Rosją na rynku gazowym.

Wesprzeć krajową energetykę konwencjonalną musimy tym bardziej, że już i tak ledwo zipie pod naporem europejskiej polityki ochrony klimatu. Od 10 do 14 mld zł zmuszeni będą wydać polscy producenci energii elektrycznej do sierpnia 2021 r., aby przystosować swe bloki energetyczne do wyśrubowanych norm emisyjnych.

Zawirowania finansowe i niepewność widać obecnie przy 7 dużych blokach, które powstają w elektrowniach konwencjonalnych w Opolu, Koźlenicach, Jaworznie, Turowie, Płocku i Stalowej Woli. Mimo to państwowe spółki kontynuują budowę. Energetycy

widzą, że do 2035 r. Polska musi zastąpić połowę starych instalacji z powodu ich zużycia. Kilkunastu brakujących gigawatów mocy nie da się uzupełnić z dnia na dzień, ponieważ budowa elektrowni trwa nawet dekadę, kosztując miliardy złotych.

Maciej Bando, prezes Urzędu Regulacji Energetyki ma nadzieję, że na rynek mocy w Polsce nie jest jeszcze za późno. Podkreśla, że w ramach Unii Europejskiej każde z państw członkowskich, które dysponuje własnymi źródłami energii, buduje na nich własną strategię bezpieczeństwa energetycznego.

- Za darmo nie da się zapewnić bezpieczeństwa, ale stać nas na niepodległość energetyczną. To będzie model, który pozwoli planować rozwój gospodarki kraju, nie obawiając się tego, że zabraknie nam paliwa do tego rozwoju, czyli energii - ocenia Bando.

Jak kosztowny byłby polski rynek mocy? Zdaniem ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego chodzi o 2-3 mld zł. Wydatku nie da się zresztą uniknąć.

- Nie unikniemy zwiększonych kosztów. Jeśli nie zbudujemy rynku mocy, będziemy musieli wydać pieniądze na rozbudowę transgranicznych sieci przesyłowych, które pozwoliłyby na import energii – tłumaczy Tchórzewski.

10 GW dodatkowej mocy

Polscy twórcy rynku mocy szacują, że dzięki wsparciu państwa dla energetyki powinno przybyć nam na początek ok. 10 GW dodatkowej mocy zainstalowanej.

Odbiorcy energii nie powinni obawiać się drożyzny w rachunkach za prąd. Z płaconego już dzisiaj rachunku wydzielona zostanie po prostu część sumy z przeznaczeniem na zapewnienie krajowi koniecznej ilości nowych elektrowni. Stabilny przyrost podaży musi z kolei sprzyjać obniżaniu się ceny za sam prąd elektryczny.

